

JÓZEF BARAN

## PRZYSTANEK MARZENIE (16)

(FRAGMENTY)



### Bintan

Na Bintan podobnie jak na Batam można dostać się promem z Singapuru w niecałą godzinę. Płyniemy z dziećmi, a także z towarzyszącym nam młodym małżeństwem: Beatą i Marcinem oraz ich przyjaciółką przybyłą z Warszawy. On, doktor chemii zatrudniony w tutejszym laboratorium uniwersyteckim, ona – botanik, a więc bardzo mi przydatna, bo przybliża nazwy drzew i krzewów dżungli, co nie jest takie proste, bo większość nie ma polskich odpowiedników.

Nasi polscy przyjaciele mieszkają w drewnianych bungalowach. My w hoteliku o idyllicznej nazwie Nirvana Gardens. Morze czystsze niż na wyspie Batam, o cudownym granatowo-lazurowym odcieniu, więc kąpiel staje się nieporównywalną przyjemnością. Nad brzegiem rozłożonych jest parę hamaków. W jednym rodzina niemiecka. Dziecko pokrzykuje na kołyszącego hamakiem tatę: „Schneller, schneller!”. Ot, niecierpliwość dzieciństwa...

Jednoroczny wnuk Jasiu wzbudza ciepłe uczucia wśród tubylców; każdy chce go dotknąć, pogłaskać po jasnych polskoholenderskich włosach. On stara się im odwzajemnić. W ogóle tutejsi Indonezyjczycy są niezwykle uprzejmi. Kochają dzieci, są mili, łagodni... są sami jak dzieci.

Wieczorem w restauracji na wolnym powietrzu gra zespół zjawy. Mężczyźni o rysach kobiecych, w egzotycznych strojach. Bębny, bębenki, gitara i harmonia. Skąd tu przywędrowała harmonia? Pewnie jest pozostałością po kolonistach z Holandii. Zadomowiła się na stałe wśród tubylczych instrumentów. Nadaje rzewno-ludowy ton muzyce zjawy; muzykanci siedzą w kukki na podium z księżycem i gwiazdami nad głową, krzesząc z nocy nostalgiczne melodie, które kojarzą mi się z weselnymi rytмами z mojej rodzinnej wsi.

Od morza, które prowadzi samo z sobą dialog, powiewa ciepła bryza i trudno wprost się oderwać od muzyki, księżycy, dziwnych tańców i tej nocy w plenerze, dającej wychnienie po upalnym dniu.

A na drugi dzień znów praży, i to tak, że trzeba się kryć w cieniu, żeby się nie poparzyć. Wiedzą o tym Singapurczycy, którzy pojawiają się w morzu dopiero po siedemnastej, a potem kąpią się do dziesiątej wieczorem. Ich dzieci noszą na plaży specjalne kostiumy chroniące przed słońcem. Ich kobiety „płyną po plaży w dżonkach jasnych parasolek”, bo – jak już pisałem – nie lubią się opalać, a biała skóra pozostaje dla nich niedoścignionym ideałem.

Po miesiącu pobytu w tych stronach przestają mi śnić w głowie wspomnienia z Polski, choć to przecież dopiero początek marca, pełna zima w kraju nad Wisłą.

W niedzielę wyjeżdżamy na całodzienną wycieczkę w głąb wyspy. To, co uderza, to tysiące Indonezyjczyków na motocyklach. Mijamy ubogie wioseczki w dżungli. Pianie kogutów znów przypomina mi podtarnowską rodzinną wieś. Starzy ludzie siedzą na progach drewnianych budek-domków. W jednej z wiosek zatrzymujemy auto, żeby zrobić zdjęcia. Dwoje dzieci stojących w okienku bez szyby; widok wrzuszający i chwytający za serce, dajemy im jakieś drobiazgi; matka odwdzięcza się promiennym uśmiechem i natychmiast po odejździe robi mi się – z powodu jej uśmiechu wdzięczności – strasznie głupio. Nie zasłużyłem sobie na ten uśmiech! Nie wyciągnąłem z kieszeni 20 dolarów singapurskich, które postanowiłem przeznaczyć na obiad. I już nigdy im nie dam, bo nigdy w życiu tu nie wrócę.

W powietrzu krążą duże kolorowe motyle i wielkie owady, niby trzmiele, niby szerszenie. Co krok mijamy palmy-wachlarze, plantacje palm kokosowych, zrzucających na ziemię ogromne orzechy, nie tyle z mlekiem, co napojem kokosowym. Żeby się dostać do środka, trzeba rozplątać skorupę siekierą. Kosztujemy napoju w knajpce pod palmami, gdzie siedzą czarni Bintańczycy przy piwie. Ich kobiety nieopodal, w nadmorskich koszach, podają na tackach swoim dzieciom obiad.

Podjeżdża gromada Bintańczyków na motorach i przyglądają nam się jak ludziom z innej planety...

Trochę dalej jest wioska rybacka, rodziny „żniwują”, tzn. zanurzone po kolana i po uda w wodzie zatoczki, wybierają z morza do koszy ostrygi, kałamarnice, ryby oraz inne smakołyki. Wszędzie, gdzie spojrzeć na morze, sięją się złote promienie niedzielnego słońca. Idylla małeńka taka...

A wieczorem po powrocie z interioru długi spacer po plaży. Właśnie promienie zachodzącego słońca surfują po falach Morza Południowochińskiego, a ja z całą wyrazistością odczuwam swoją „marność nad marnościami”. Sprawia to niesamowite piękno tej chwili, zmieszane z poczuciem wielkiego oddalenia i odosobnienia: od siebie i wszystkiego co bliskie, a co pozostało 12 tysięcy mil stąd, henhen gdzieś w kraju nad Wisłą.

### Zobaczone z indonezyjskiej wyspy Bintan o zachodzie słońca

cóż to jest ten  
ciepło pulsujący wokół serca  
niewidzialny dla innych punkcik

oswojonej przestrzeni: dom  
w dalekiej Polsce  
gdzie zapieramy się rękami nogami  
I całym napięciem  
przed napierającym zimnym kosmosem!?  
wcześniej czy później  
wessie nas niepojęta dal  
wypije nieobjęta przestrzeń  
połknie i wypłuje wszechogarniająca nicłość  
pozostawiając jak wyschniętą meduzę na plaży  
Wszczęświata

czuję to wyraźnie patrząc na ostatnie  
promienie słońca  
surfujące wieczornie po falach  
Morza Południowochińskiego

### Lot

Lot z Singapuru do Frankfurtu. Mam za sąsiadów dwoje starszych Niemców: ona rozwiązuje krzyżówkę, on czyta gazetę. Ja po zjedzeniu obiadu, wypiciu piwa i whisky zapadam ze słuchawkami w stan błogostanu, odrętwienia. Przy okazji myślę sobie, że właściwie to my cudem wisimy w tych chmurach – na słowo honoru fizyki i niewyobrażalnych dla mnie – jako humanisty – praw techniki. Ale zachowujemy się tak, jakbyśmy mieli ziemię pod nogami: jedno dziecko wyrwa drugiemu zabawki, tu gadają o interesach, tam ktoś śmieje się z dowcipu sąsiada...

Czy nie tak wygląda nasze życie na ziemi? Też jakby zawieszona na nitce w mgławicach i zależna od nieznanego bliżej Kosmosu, przypadku. A jak się szarogęsimy, jak się czujemy pewnie?! Jak wyklócamy się o każdy drobiazg, o międzę, o duperele, jakbyśmy mieli na Ziemi wiekować. A jesteśmy przechodni. Przelotni. Chwilowi.

### Samolotowiec

– Wiesławi Nowakowi

szef przedsiębiorstwa budowlanego  
wygrywający przetargi  
w wielu krajach świata  
przesiada się  
w locie  
z samolotu na samolot  
zatracać  
na wysokościach  
i tracąc z oczu  
czas i przestrzeń  
aż mu się niekiedy marzy  
żeby zmylić szyki Czasowi  
wystartować  
z lotniska  
Smuga Cienia  
i wylądować  
znowu od początku  
na lotnisku: Kraina Bezczasowego Dzieciństwa

cdn.

